

Wstaję z łóżka, żeby wziąć ją od tyłu na stojąco, ale kutas dynda mi jak wstążka. Macham nim w lewo i prawo, uświadamiając sobie jednocześnie, że chuja z tego będzie. Ocieram go o tyłek, jakby zaraz miał wyskoczyć dżin z jej dupy i spełnić moje życzenie o krwistym wzwodzie. Wkładam jej kciuk zamiast kutasa, a lewą ręką dojeżdżam się sam; wyobrażam sobie, że wyglądam jak gęś w skarpetach, wstydliwie przygarbiona, która chowa za kciukiem obraz sflaczałego męstwa.

Jest tak wilgotna, że udaję mi się wepchnąć to masło do środka, więc posuwam ją już nie kciukiem, a tym sznurkiem, co wisi mi między nogami. Przez chwilę zyskuję nadzieje, że może oto tam, w środku napelni się krwią, ale robiąc te dziwne ruchy w tył i w przód, jakbym naprawdę uprawiał jakiś seks, zawodzę totalnie i z tej bezsilności wysuwam zamaszystym ruchem ten wstyd z jej środka raz na zawsze. Ona obraca się i mówi, że coś nie idzie dzisiaj, wskazując nosem na moje krocze. Wkładam go w jej usta, ale odsuwa się z miną jakby chciała wypluć kwaśną żelkę. No tak, nie ma sensu. Mogliśmy nie pić wczoraj – dodaje. Wołałabym się z tobą kochać niż pić.

Wołałabym pić i pieprzyć. Lecz ostatnio rzeczywistość nie łączy mi tego w parę.

Piję tak jak dupcę, ciurkiem. W stylu zachodnioeuropejskim, duszkiem, najlepiej przez siedem dni w tygodniu. Mam za sobą dwa lata olimpijskiego chlania gorzały. Moje flaki to głównie gównno, jebie ode mnie przepitym gównem, a mój kutas jest jak moje flaki. Działam tylko prowizorycznie, a że jakaś dupa chce, żebym jej włożył, momentalnie się w niej zakochuje, również prowizorycznie, i wychodzi z tego, co wychodzi; obraz wstydu, który mogę zawiesić obok wiszącej już wstydlivej kolekcji alkoholowych podbojów.

Gdy wyjdzie ode mnie i wróci do siebie, usiądę przed laptopem, włączę porno i wyrzucę z siebie rozpacz wprost na chusteczkę. Jeśli wyjdzie. Bo póki co leży. Leży tak od dwudziestu godzin łącznie z czasem przeznaczonym na sen. Nie wiem już nawet o czym mam rozmawiać. Wyczerpał mi się limit słów zatykających cisze. Co jakiś czas podnoszę rękę z jej tyłka i przesuwam na kark. Mówię przy tym, że ją kocham, albo coś tam innego, że jest fajna i młoda. Ona się uśmiecha i mówi, że kocha mnie bardziej, a ja robię się coraz bardziej przerażony, kryjąc za odwzajemnionym uśmiechem myśl: w co tym razem się wpierdoliłem?

Lubię szarość. To, jak zasłony są zasłonięte, a ja mogę tyć w ciszy, słuchając muzyki, czytając książki. Z reguły lubię nie być, nie istnieć. Nie lubię tłumy i przeraża mnie słońce. Chcę mi się nie robić nic i tylko raz na jakiś czas polizać jakąś cipę. A jeśli piszę, również robię to dla cip, tych międzynarodowych, międzyplanetarnie pojebanych. Lubię swoje biurko i to, że nie ma nim kurzu, i rolety posrebrzane od zewnątrz, żeby odbić UV jak najdalej stąd. Patrzę na nią jak leży przytulona i myślę, że nie udaję mówiąc, że kocham, bo potrafię kochać i może nawet zgadza się tym razem uczucie z tym, co wypowiadam, z tym słowem *kocham*, ale ja nie lubię tego, co kochanie ze sobą niesie. A niesie możliwość. Niesie wyjście. Niesie wiosnę i permanentny brak zimy. A ja nie lubię wychodzić z mieszkania, szczególnie jak jest jasno.

Za dnia rozmawiam jedynie z panią w monopolowym. Z panią, no, z Dorotą właściwie. Przeszliśmy na ty odkąd pobratałem się z asortymentem jej sklepu. Rozmawiamy, co tam u mnie, co tam u niej. Wrzucam napiwek do specjalnie przygotowanej puszkki z napisem *na piwo* i żegnamy się w zrozumieniu. Pani w monopolowym jest jak kurwa, tylko lepsza, bo nie udaje, że rozumie, tylko rozumie naprawdę. I ma le-

karstwo. A kurwy nie mają żadnego lekarstwa, są całkowitym przeciwieństwem leczenia. Powodują jeszcze głębsze rany i gorsze choroby niż te, które przyprowadziły cię do ich domów. Kurwy ryją palcem dziury w duszy z czystą obojętnością, a dla ciebie zostaje te kilka minut pomiędzy, i to, co zdołasz z tych kilku minut wycisnąć. Z reguły kończy się to rozlanym potomstwem na ich twarzach.

Odklejam się od niej i idę się przejść. Mówię, że idę siku. Siadam na kiblu i nie sikam. Wstaję i idę do kuchni. Tam zaglądam do lodówki i wracam z powrotem do pokoju. Zegarek mówi, że jesteśmy dwadzieścia kilka godzin razem. Nie wiem, co zrobić z tym czasem. Nie wiem, co zrobić z nią. Chciałbym już móc patrzeć w pusty pokój, kontemplować, ale muszę jakoś być, istnieć. Nie przeszkadza mi, że jest, leży, przeszkadza mi to, że nie jestem sam, że nie mogę zrzucić z siebie jej wzroku. Miłość, jeśli ma jakiś smak, jest to kurwi smak. Gęsty, lepki płyn, który przywiera do podniebienia, który najlepiej przepłukać czystym spirytusem i wypluć. Miłość to mgła. To smak dymu, który zalewa to miasto z okolicznych domów, to smak żelastwa i sadzy unoszącej się nad ogniskami przy ogrodach działkowych. Miłość pachnie jak nieudany dzień. Jak nieudany tydzień. Rok... pachnie jak nieudane życie.

Kładę się obok, znowu. Gładzę ją ręką po tyłku i całuję w kark. Ma coś do powiedzenia, jej oczy mają. Pewnie powie, że kocha, ale jeszcze nie teraz. Za chwilę. Gdy urwę wzrok powie to na pewno. Urywam i nie mówi, wygląda jakby w pół zdania wyszła z siebie, jakby zacięła się w windzie pomiędzy piętrami. Po chwili ciszy usypia. A ja zostaję pomiędzy tym wszystkim. Siadam na stołku, patrzę w ekran, po chwili na nią, potem znowu gdzieś w dal. Nawet podczas snu angażuje mnie w swój życiorys. Nie potrafię robić codzienności, gdy jest, gdy leży, gdy jest wyczuwalna.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

stawitzky, dodano 11.04.2019 12:31

Dokument został wygenerowany przez [www.portal-pisarski.pl](http://www.portal-pisarski.pl).